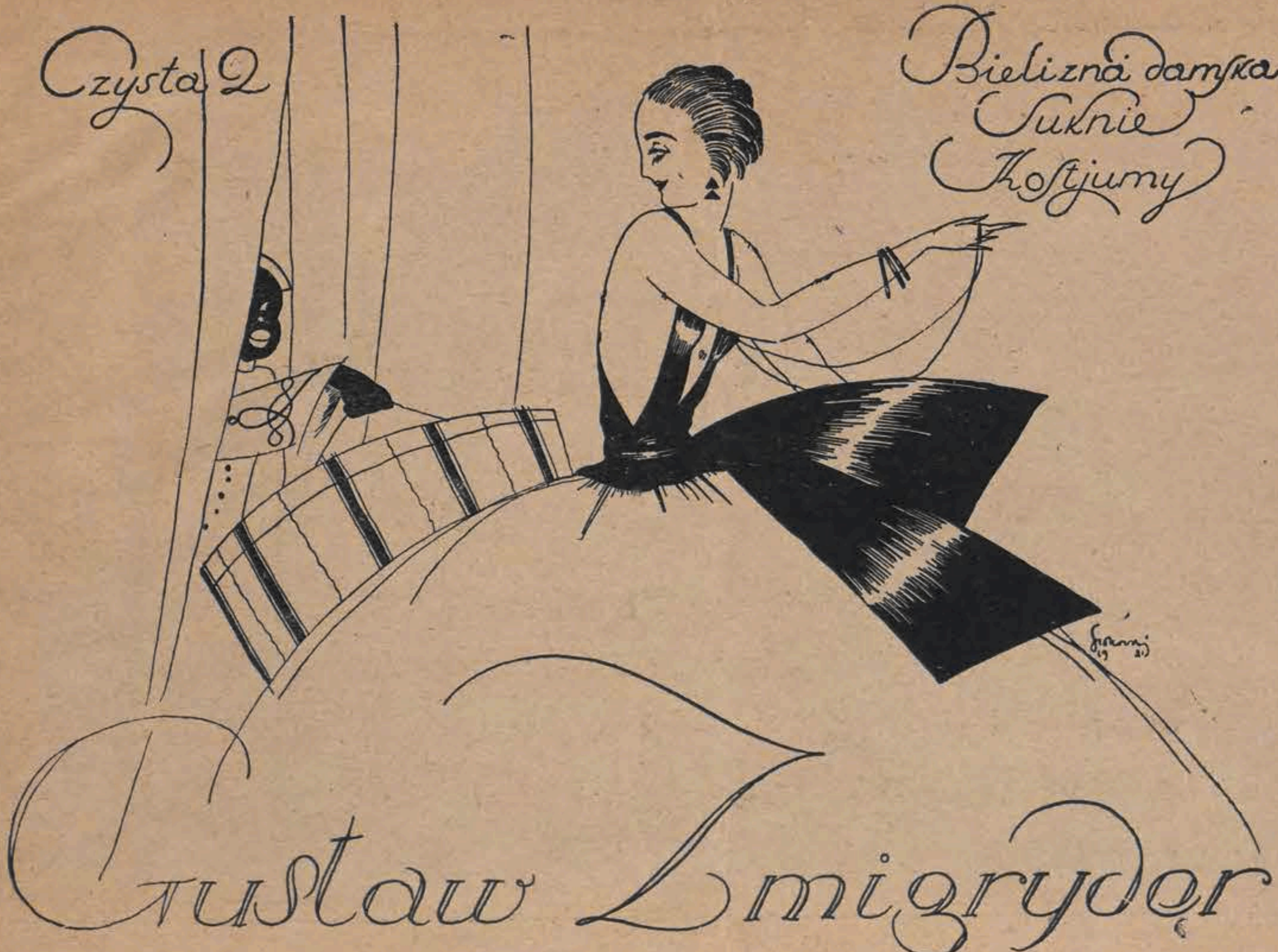


Nr. 1—2 STYCZEŃ—LUTY CENA MK. 5.000.—

KSIĘGARNIA E. WENDE I SPÓŁKA
TOW. WYDAWNICZE „IGNIS" S. A.
W WARSZAWIE, KRAK.-PRZEDM. Nr. 9
POLECA BOGATO ZAOPATRZONY DZIAŁ
KSIĄŻEK BELETRYSTYCZNYCH I NAUKOWYCH. KATALOGI, PROSPEKTY ORAZ
ZAMÓWIENIA USKUTECZNIAMY
ODWROTNĄ POCZTĄ


Czysta 2
Bielizna damska.
Suknie
Kostjumy
Gustaw Żmigryder


Pobóg
Mme Henriette
wykwintne kapelusze
artystyczne lalki
6. Mazowiecka 6.



Jan Matuszewski

FABRYKA TRYKOTAŻY

Sprzedaż detaliczna:

40 NOWY ŚWIAT 40

154 MARSZAŁKOWSKA 154

33 CHMIELNA 33

Wykwintne Obuwie Damskie



„Józef"

N.-Świat 40 m. 13.

Ie piętro

wejście z kina

ZAKŁAD LECZNICZO-KOSMETYCZNY

W. KLIMECKIEGO

W WARSZAWIE, NIECAŁA 5.

Stała pomoc lekarska. — Usuwanie kurzajek, brodawek, znamion, parafinowanie wklęsłości. — Leczenie chorób włosów. — Masaże wibracyjne, elektryczne prądami stałymi i przerywanymi.

PRZYJĘCIA OD 10 DO 2 I OD 4 DO 7 WIECZOREM.

Pani

PISMO POŚWIĘCONE ELEGANCKIEJ KOBIECIE, WYTWORNYM MODOM, KULTOWI ARTYSTYCZNEMU I KOSMETYCE

Nr. 1—2 LUTY 1923 ROK II



„SZAFIR", TEATR KOMEDJA *JANINA OWCZARSKA* Fot. St. Brzozowski

Negliż z różowej fulgurante, narzucenie ze srebrnej koronki obramowanej skunksami (wykonany w pracowni G. Zmigrydera)

ACH TA „PANI”!...

Redaktor „Pani“ przypomina mi takiego nieszczęśliwego męża, do którego modna żona ma wieczyste pretensje na temat z Boy'a: „Ona mu wypruwa flaki: bo ty zawsze jesteś taki!...“

— Mało kto u nas bywa... nikogo nie zaprosisz... Tu bal, tam towarzystwo, a u mnie nikt... Co ty sobie wreszcie myślisz... Jestem taka „Pani“, jak inne, jeżeli nie lepsza... Mógłbyś przecie kogo przyprowadzić...

Biedny człowiek idzie tedy do takiego, „co ma tekę“ i „pewnie jakiś drobiazg w tece“, i rozpoczyna rzewną, tkliwą, płaczliwą, smutną piłę w tonacji:

— Moja „Pani“ prosi panią, aby pani, proszę pani, napisała coś do „Pani“...

Ponieważ djalog odbywa się w narzeczu męskiem, wygląda to tak:

— Czy nie mógłby Pan wejść w bliższy stosunek z moją „Panią“?

— To zależy, ile „Pani“ płaci...

Djalog ten wygląda zgoła cynicznie i haniebnie podejrzanie dla kogoś, kto słucha z boku i nie słyszy cudzysłowów.

Wchodzi się jednak w bliższy stosunek z „Panią“, aby jej uprzyjemnić życie, z czego się rodzi malutki Feljetonik, dzieciątko miłe i zazwyczaj głupiutkie, które samo nie wie, czego chce i jedno ma niesamowite przyzwyczajenie, oto ujrzawszy odkryty dekolt, zawsze, dziecinnym zwyczajem, sięga ręką tam, gdzie nie trzeba. Dziecinne te igraszki mają wiele wdzięku.

Do „Pani“ powinno się pisać o pani, czyli wyrażając się z ohydną trywialnością: o kobiecie. Tego uczynić nie mogę, gdyż jestem żonaty, przeto wszystko, co mógłbym napisać o „kobiecie“ — napisane byłoby pod presją ze szkodą dla objektywizmu; poza tem jestem krytykiem teatralnym, więc człowiekiem chorym na rozlanie żółci, — w tym zaś stanie do wytwornej pani zbliżać się nie należy. Co zdołałoby zainteresować kobietę, to z pewnością mało obchodzi „Panią“. Sprawa tedy z pisaniem dla „Pani“ jest ciężka, trzebaby bowiem pisać dla niej perfumą na wstążce, na co szkoda czasu i atłasu. Przepis na feljeton dla „Pani“ powinien wyglądać tak: ubić piankę z kilku jaj, utrzeć dwa łuty uśmiechów, dodać pół kilograma plotek, kilka płatów róży, butelkę koniaku, tysiąc papierosów, dwa tuziny westchnień i kropelkę atramentu. Jest to jednak przepis tak trudny i tak kosztowny, że byle kto pozwolić sobie na to nie może... Z drugiej zaś strony ofiarowanie „Pani“ dwóch serdelków i jednego skrzywionego uśmiechu jest nieprzyzwoitością, słusznie piętnowaną w książce o obyczajach towarzyskich.

Nie umiałbym również napisać o tem, co w „Pani“ jest działem przemożnym: o sukni kobiecej. Pogląd mój bowiem na treść głębokiego tego zagadnienia jest bardzo treściwy. Suknia „Pani“ jest to para marmurowych, jędrnych piersi i poniżej płat kolorowego materjału. Pierwsza z tych dwóch części składowych jest stanowczo w całości ważniejsza.

Ponieważ z każdej stronicy „Pani“ uśmiecha się jakaś miła twarzyczka aktorska, możnaby od biedy zająć się tym wdzięcznym i naróżowanym tematem, i napisać śliczne studjum p. t. „Zwyczaje i obyczaje aktorek“, studjum równie zajmujące naukowo, jak traktat W. Boelschego „O rozmnażaniu się solitera“. Temat ten jednakże jest jałowy, aktorka bowiem nie jest ani „panią“, ani „kobietą“. Panią nie jest dlatego, że pracuje sama na swoje utrzymanie, co jest w sferach rafinowanie wytwornych rzeczą mocno w złym tonie; kobietą zaś nie jest z wielu powodów. Aktorka czyni wszystko w swoim czasie — kobieta nigdy. Aktorka nie może się nigdy spóźnić — kobieta zawsze. Aktorka musi mówić zawsze do rzeczy — kobieta rzadko. Aktorka po sto razy powtarza w roli dosłownie to samo — kobieta, dwa razy mówiąc o tem samem, powie trzy razy inaczej. Aktorka kocha na scenie fałszywie, w życiu prawdziwie — kobieta zawsze fałszywie. Aktorka gra komedję tylko wieczorem — kobieta od rana do nocy i od nocy do rana. Ten zaś drobny szczegół, że aktorka ubiera się zawsze na kredyt i kobieta także się ubiera na kredyt, żadnego podobieństwa nie dowodzi.

Inne są jeszcze podobieństwa, bo i aktorka i kobieta nigdy się nie starzeją, na to jednak, jako na objaw zupełnie naturalny, uwagi zwracać nie należy.

Możnaby, ale już w najczarniejszej rozpaczy, poruszyć jakiś temat literacki, niestety, jest to temat zbyt chudy, bo wymówiwszy ze słodyczą słowo: „Tagore“ — rozwiązało się dla „Pani“ wszystkie zagadnienia literatury i sztuki. Feljeton o tańcu mógłbym napisać jedynie z pomocą świętego Wita, — sam nie potrafię.

Jasnem jest tedy, że niczego właściwie nie umiem napisać dla pięknej „Pani“. Z „Panią“ można zgrzeszyć, pisanie jednak do niej, lub o niej, jest rzeczą znacznie trudniejszą. Oto jest rozwiązanie sprawy. („Rozwiązanie“ rozumieć należy nie tak, jak „pani“ myśli...)

Mogę więc ślicznej „Pani“ przesłać najmilszy uśmiech i ucałować ją — w okładkę, tak bardzo kolorowo namalowaną, jak jej twarzyczka.

— Wszystko jest namalowane! — rzekł raz warjat, któremu wrócił rozum.

Teraz tylko strach mnie bierze, że za dwa tygodnie przyjdzie do mnie znów blady cień „Pani“ — jej książę-małżonek, jej redaktor, i rozpocznie swój jęk:

— Moja „Pani“ prosi panią, aby pani...

Zginie ten człowiek na miejscu, ugodzony w łeb feljetonem.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

P A N I

Pani oczy są niespokojne —
są niespokojne — jak morskie fale.
Pani oczy nie widzą zbliska —
są zapatrzone w obłoczne dale — —

Pani oczy są tak dalekie —
są tak dalekie — jak gwiazdy dwie.
W Pani oczach wyczytać mogę
tylko te słowa: Nigdy i Nie.

Pani oczy są tak głębokie,
tak głębokie — jak dwa jeziora:
Na dnie ich mieszka Pani dusza,
dusza samotna wiecznie i chora — —

A gdy Pani przesłoni rzęsą
te niespokojne i smutne oczy —
to się w pokoju robi ciemno,
wszystko szarzeje nagle — i mroczy...

Pani ręce o długich palcach
są tak wysmukłe i rasowe.
Pani ręce są chyba po to,
by się mnie śniły w noce majowe — —

Pani ręce po to są chyba,
by pieściły serca i kwiaty,
i by w pieszczocie tej mistycznej
bielą skrywały róż szkarłaty — —

Pani ręce są snem Beardsley'a,
tak są nerwowe i drażniące —
Są jak marzenie me o Pani:
białe — strzeliste — i pachnące — —

Pani ręce są jak relikwje
w milczeniu świątyń podziwiane.
Całując końce Pani palców —
jak Hostję z nich przyjmuję pranę...

Pani usta są jak rozkwitłe
w majowe rano świeże róże,
są tak czerwone i płomienne —
są niby: serce w minjaturze — —

Pani wargi są tak zmysłowe,
są tak zmysłowe jak brzoskwinie.
Pewno gdy niemi Pani dotknie,
to w głowie szumi jak po winie...

Pani usta są niby rana,
zadana żądłem pocałunku,
sam Eros chyba Panią zranił
w porywie szału — bez frasunku — —

Kto ze śmiertelnych ust tych dotknie,
kto je zapali i rozkrasi —
ten zginie chyba — lecz pożaru
ust tych płonących już nie zgasi — —

Pani jest cała taka inna,
tak niepodobna do nikogo.
Pani chyba nie jest kobietą:
kobiety takie być nie mogą...

A jednak tyle kobiecości
jest w Pani ruchach i uśmiechu —
Izoldą — Pani jest w miłości,
i Marją Magdaleną — w grzechu — —

Pani jest cała żywcem wzięta
gdzieś z japońskiego drzeworytu:
taka jest Pani smukła w linji —
stworzona tylko dla zachwytu — —

Pełna prostoty i harmonji,
w rytm współczesności obłąkańczy
wtłoczona gwałtem — Pani sobą
jest wówczas może — kiedy tańczy...

Taką widziałem Panią wtedy,
kiedy siedziałem przy stoliku,
na którym więdły żółte róże
w tym szafirowym wazoniku — —

I widząc wówczas tylko Panią —
nie wiem — czy zjawę, czy kobietę —
czułem że obok żółte róże
roniły płatki na serwetę...

XAWERY GLINKA



Rys. Zaruba

PRELEKCJA O TAŃCU

W wieczór Sylwestrowy przyjaciel mój, profesor, zebrał w jedynym pokoiku, w którym jeszcze nie tańczono, tłum złożony co najmniej z trzech osób, nalał nam szampana do wysmukłych kielichów i rozpoczął prelekcję temi słowy:

Szanowni słuchacze! Na wstępie zaznaczyć muszę, że wedle moich obserwacyj najdłużej żyje na świecie *Głupstwo*. W tej rodzinie wypadki śmierci są nader rzadkie, każdy *Idjotyzm* trwa przez wieki całe i żaden bakcyl się go nie ima. Mimo bajecznych postępów wiedzy, mimo niezwykłych odkryć w nauce o kosmosie, mamy i dziś jeszcze chmary astrologów, którzy wygłaszają odczyty publiczne i cieszą się doskonałem zdrowiem. Mimo wszelkich zdobyczy chirurgji, biologji, terapji — posiadamy i dziś jeszcze całe bandy znachorów i owczarzy, którym powodzi się świetnie. Kto chce być prawdziwie nieśmiertelny, niech wymyśli jaki potworny absurd, a może być pewien, że nawet po wiekach dwudziestu gdzieś tam, kiedyś, jego nonsens w kimś odżyje i zakwitnie na podziw. Znikome i śmiertelne są tylko rzeczy mądre i piękne. Dlatego właśnie wyszła z użycia chlamida grecka i dlatego zastąpiliśmy ją frakiem. Dlatego też nikt z nas dzisiaj nie nosi wzorzystego turbanu na głowie, nakrywa natomiast chętnie łysinę idjotycznym melonem.

Jeżeli taniec, drodzy przyjaciele, w czasach nowszych zamiera, jeżeli stał się zjawiskiem rzadkiem i niepospolitem, jeżeli oglądamy go tylko w okazjach specjalnych — na scenie, na balu — nie wyprowadzajcie stąd błędnego wniosku, kochani moi, że jest to rozrywka głupia. Gdyby był rozrywką głupią, oglądalibyśmy go codzień na każdym rogu ulicy, w każdej kawiarni i na każdem zebraniu przedwyborczem.

Taniec odegrał wielką rolę w dziejach ludzkości i żebyśmy go tak wykreślili raptem z kart historji — kto wie, czy Napoleon Wielki byłby taki wielki, czy Juljusz Cezar przyszedłby wogóle na świat i czy Krzysztof Kolumb chciałby odkryć Amerykę.

Niestety! to, na co patrzymy dzisiaj, jest marnem zjawiskiem szczątkowem, nikłem echem świetnych czasów minionych, parodją, pustą formą, przystosowaną jedynie do celów matrymonjalnych. Ponieważ pan Emil w tłoku życia wielkomiejskiego nigdzie już nie może być sam na sam z panną Moniką, chwyta więc ją poprostu wpół, prowadzi na wywoskowaną posadzkę i mówi w takt melodji „o, bajadero": — Kocham panią od pierwszego wejrzenia, raz, dwa, trzy. Pracuję w ministerjum robót publicznych, prawa nóżka! Gdyby pani chciała los swój połączyć z moim, boczna figura, korpusik lekko, przegięcie, szczęście moje nie miałoby granic ani od wschodu, ani od zachodu, ewolucja, obrót. Gdybym mógł posiąść na zawsze rękę, którą pani złożyła na mojej łopatce, duże kroki z przykucaniem, kupiłbym trzy pokoje z kuchnią na Solcu. W tem mieszkaniu trochę sufit zacieka i trochę straszy, mianowicie nieboszczka babka poprzedniego lokatora zjawia się w juppe-s-culottach i rzuca rondlami, ale gniazdko nasze — przyciskamy się do siebie, odsuwając lewą nogę.. opromienilibyśmy uczuciem i wytapetowali na nowo, pas foxtrottowe... raz, dwa, raz, tempo.

Jakże daleko jesteśmy tu, szanowni słuchacze, od czasów, kiedy taniec towarzyszył nieodmiennie każdemu wielkiemu faktowi przełomowemu, każdemu wypadkowi w życiu gromad ludzkich. Pamiętacie?

Ilekroć sędziwy wódz plemienia Inkasów postanawiał po namyśle w pień wyciąć i oskalpować sąsiednie plemię Irokezów, zbierał lud swój — najbardziej zgrzybiałych starców i najczcigodniejsze matrony — do kupy, zapalał ogniska i puszczał się w tan zawrotny, podśpiewując sobie coś w rodzaju: „o, Bimbolo", tudzież: „każda panna tańczy shimmy".

A dziś? Nudne polemiki w prasie, walki, napady, kłótnie, odezwy... Bez wdzięku, bez rytmów muzycznych, bez podrygów wesołych. Czy słyszał kto kiedy, żeby prowodyr naszych *enpepeperów* wypowiedział walkę *luendepekom*, wykonywając przytem na trybunie wiecowej sambo albo bostona? Czy czytał kto kiedy komunikat dyrekcji: dziś — w odpowiedzi na napaści prasowe panów recenzentów — kierownik literacki Teatru Średniego wykona przed rozpoczęciem sztuki *pas de fleurs, pas redoublé*, ragtime'a i taniec wśród mieczów? Czy był wypadek, żeby związek autorów dramatycznych, protestując przeciwko uszczypliwym krytykom po gazetach, ująwszy się za ręce, tańczył kontredansa — z czcigodnym prezesem swoim na czele? Czy zdarzyło się kiedy za dni naszych, żeby dziennikarz — zamiast pisać długi artykuł, naszpikowany obelżywemi wyrazami i wycieczkami osobistemi — wycinał poprostu polkę w lewo, albo tramblantkę „z fifem", przytupując tu i owdzie, i podśpiewując dziś-dziś-dziś?

Nie, szanowni słuchacze moi. Piękne obyczaje giną tak jak piękne mody. Życie jest coraz smutniejsze i brzydsze.

Tu wychyliliśmy z profesorem jeszcze jeden kieliszek wina, poczem świadomość moja przygasła na czas dłuższy.

BRUNO WINAWER



Rys. M. Śniżek

JAKŻE NUDNE SĄ TE BALE!

Suknia drapowana z zielonej fulgurante, haftowana srebrem, dół ze srebrnej koronki.

Płaszcz z gniecionej złotej lamy, kołnierz i obramowanie z soboli i pas przez plecy z czarnego velouru.

MODA A KARNAWAŁ

Dwa są wielkie événements w roku dla pań: karnawał i wyjazd na lato. Wokół nich grupują się wysiłki mody, powstają nowe ideje, aby dać wyraz zdecydowany dopiero w kreacji karnawałowej lub w lekkiej, „słonecznej“ sukni letniej.

Tak też stało się i w tym roku. Skrzętnie zebrano szczegół po szczególe roku ubiegłego, nie poniechano nawet elementu—politycznego. Bo oto „kwestja cieśnin“ dała asumpt do zużytkowania w modzie motywów à la turque. Turkomanja nie pierwszy raz zresztą wywiera wpływ na stroje niewieście. Szedł od Wschodu już niejednokrotnie ten dziwnie nęcący egzotyzm, odkąd właśnie Turcja stała się „chorym człowiekiem Europy“ i ewentualny spadek po niej odbierał sen ambitnym mężom stanu nad Newą, Dunajem, Sekwaną, czy Tamizą.

U nas, w Polsce, Wschód przeważne piętno położył na strojach. Dawał on, obok kroju szat, przedewszystkiem materjały, więc owe bezcenne adamaszki i złotogłowia. Stamtąd też bierze swój początek cyzelatorstwo klejnotów, guzów, spinek, maneli, naszyjników, zausznic i t. d. Nie dał się nawet tak łatwo wyprzeć Wschód ani Bony włoskim nakazom, ani Marysieńki francuskim kaprysom i, rzec można, aż do Sasów wytrwale utrzymywał się w strojach białogłowy. Potem dopiero przyszła Francja Ludwików, ale i tam, ileż już turkomaństwa dzięki polityce dworu!

Ale — prawda! Piszę przecież o karnawale, a nie traktat historyczny o modzie. Proszę mi wybaczyć i pozwolić zarazem na jeszcze jedno małe zboczenie od tematu. Obok Turcji widzimy bowiem w modzie obecnej jeszcze znamię innej narodowości, mianowicie — Hiszpanji. Oto powraca koronka w ilości dawno już niewidzianej, w deseniach, a nawet barwach najwymyślniejszych.

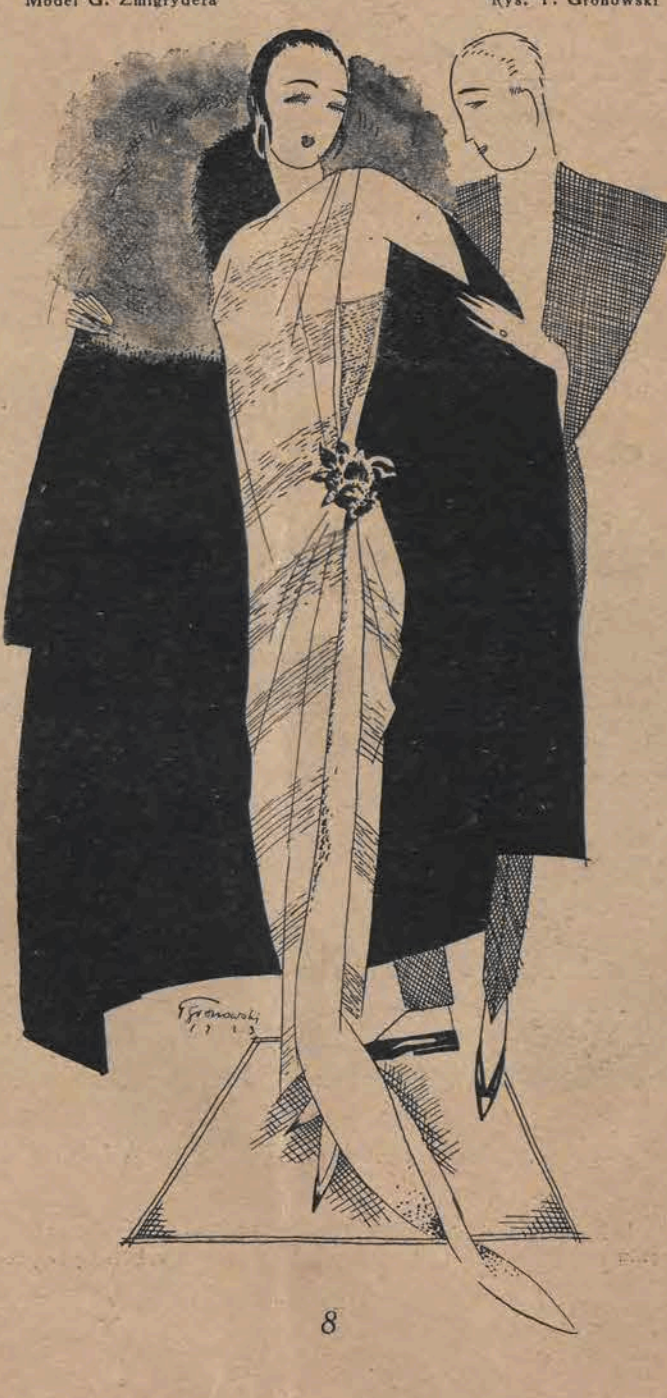
Od Bosforu więc — po Gibraltar!

Wieki całe — szanowne panie — proszę tylko pomyśleć! — całe wieki patrzą na was, tańczące shimmy, bostona czy innego trotta.

I cóż z tego? Można tak przetańczyć w gibkich przeginaniach się każdą noc w karnawale, przesypiać dnie teraźniejszości, które, jeżeli nie szare i nieciekawe, są przecież niejednokrotnie zbyt przykre.

Toaleta balowa z crêpe satin fraise, tkanej w srebrne pasy; podbicie i kwiat ze srebrnej lamy.

Model G. Zmigrydera — Rys. T. Gronowski



Tańczmy więc, dopóki noc długa!

Niech rozbłysną mnogie światła żyrandoli i rozpalą miljardy skier na sukniach, zasianych paciorkami, cekinami, klejnotami, na sukniach aż ciężkich od sutego pailletowania. Niech zakwitną sale balowe egzotycznemi barwami Wschodu, kwiatami haftów przedziwnych, owijającemi wysmukłe postacie legendą Bagdadu. Niech wśród dzikich gwizdów jazz-bandu rozwiną się bez szmeru sny koronkowe, pachnące sny Sewilli.

Karnawał tego roku dostał naprawdę kolorystycznego szału; pomieszał blaski złota, srebra i klejnotów z wszelkiemi możliwemi barwami. Może zresztą niektóre darzy większą miłością, wyróżniając je zaszczytnie — jest to vert veronese w kombinacji z srebrem.

Krój sukien nie zmienił się, także materjały, od krep począwszy, poprzez wszelkiego rodzaju brokaty i lamy — na aksamicie skończywszy, dają niebywałą potąd swobodę wyboru. Cały jednak trud oryginalności spoczął na wywoływaniu efektów zewnętrznych. Mozolne naszycia paciorkowe, czy gra barw—oto niby wszystko. Ale tu właśnie pomysłowość ma pole do popisu, tu dopiero artyzm odezwać się może decydująco. Całe legjony artystów poszły też teraz w służbę królewską mody. Pracowicie wysila się duch twórczy na owe stylizowane desenie, na arabeski, przeradzające się z futurystycznych omamień w poprawny rysunek lub w egzaltację wschodnią.

Klasyczna draperja sukni przyjmuje na się pokornie całą florę i faunę z nad Eufratu i Tygrysu a stylowość Drugiego Cesarstwa nie gardzi koronkową hiszpańską mantylą. Jednakże, mimo wszystko, istnieje jeden niezmienny kanon mody, nieujęty wprawdzie w żadną definicję, ale podświadomie



Modele Gustawa Zmigrydera — Rys. T. Gronowski

a) Suknia złota pailletowana z piórem malinowem. *b)* Suknia półstylowa z popielatej georgetty, falbanki obramowane srebrną lamą, stanik z takiej samej lamy przetykanej fraise kwiatami. *c)* Brokat żółty ze srebrem, drapowany i podpięty z boku czarnem piórem. *d)* Suknia z zielonej brokateli, podpięta, zprzodu klamrą brylantową, dwa skrzydła z zielonej georgetty, przytrzymane brylantowemi sznurami

wyczuty: smak. To jest właśnie ów „puklerz mocny", chroniący kobietę przed największym grzechem: komizmem. Nie każdej bowiem pani wolno być śmiałą, nie każdej jest do twarzy w ekstrawagancji. Niezliczone jednak są odcienie mody, trzeba tylko umieć wybierać, albo pozwolić zastąpić się w tem krawcowej.

Iść na bal — to znaczy wyglądać pięknie od stóp do głowy. To znaczy także — przepraszam za niedyskrecję — mieć wykwintną i odpowiednią bieliznę. Trzeba ją bowiem zastosować umiejętnie do dekoltu sukni i do całego jej kroju obcisłego czy luźnego. A — entre nous soit dit — ileż to razy nieposłuszna koszulka, lub, co gorsza, jej nienazbyt cienka koronka — szpetnie zdradzają powierzchowną tylko elegancję.

Bawić się w karnawale — to znaczy poświęcić się sobie. A więc być na straży swej cery, włosów, ręki, nogi. Ach, zwłaszcza tej najbardziej, gdyż jej to jest przedewszystkiem mozolna acz ochocza służba karnawałowa. Musi więc być pantofelek ładny ale i wygodny. A najważniejszy to już obcas. Powinien on być dobrze umieszczony, nie idący wtył ani naprzód, broń Boże, wykrzywiony.

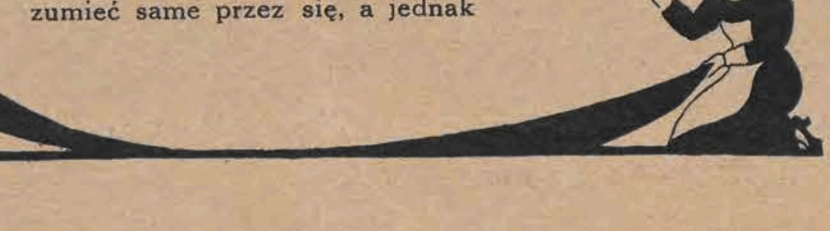
Uwagi powyższe zdają się rozumieć same przez się, a jednak tak często się je bagatelizuje, zwłaszcza u nas, gdzie dużo jest niewymuszonej bezpośredniości w oddawaniu się zabawie a nieco za mało uwzględnia się estetykę zewnętrzną.

Tak, nie jest łatwo być piękną! Mimo, że pracują na waszą urodę miljony ludzi, że najrozmaitsze Fausty wysilają się na eliksiry waszej młodości, jeszcze i wy same musicie szczegółowo przemyśląć, dobierać, przymierzać, zmieniać, poprawiać i ukrywać.

Ale gdy rozbłysną mnogie światła na sali balowej, jakże wielkie jest zwycięstwo tych, których piękność jest nietylko zasługą przyrody!

NINA





HISTORYA O GALANCIE BARZO OBRAŻLIWYM Y DAMIE WIELDZE DUFNEJ





Klęknął galan z kwieciem wpodle damy, niebyleyakiey y godney, y taki dyszkur miłosny rozpoczął:

— Respektuye cie, pani, y miłuye barzo...

— Nie wierę ci, panie, iako wam wszystkim meżczyznom wiary żadney nie daye. Każdy tak powiada, bo ino chce niewieściego pohańbienia. Więcey w was wydwarzania, niźli miłości szczyrey. —

Odrzecze dama, wiedząc, iż galan wogóle na amory iest barzo łasy y na stronie ku rozkoszy miłośnice ma różne.

Galan, mnimając, iże dama nie potrafi iuż mu sie opierać, iako że płonie ku niemu sielnie, barziey sie ku niey zbliżył:

— Nie pozwolę, aby ze mną tak poczynano! Nie pozwolę podać się w osławę! — krzyknie dama y cofnie całą rzecz swoyą od galana barzo wstecz.

Galan nie wiedział iuż: czy dama godna iest i skromna, czy rozwiązła y tylko zeń dworuyąca. „Fatygę sobie czynię całkiem na darmo! — pomyślał i wstał z kolan, iako że był klęczał.





Galan, znaiąc ią bydź barzo sposobną y nieleniwą ku miłości, takoż wiedząc że y w karesach, potaiemnie, ukontentowanie wielgie naiduie, ręke iey w garzść swoyą na pieszczotki uiął.

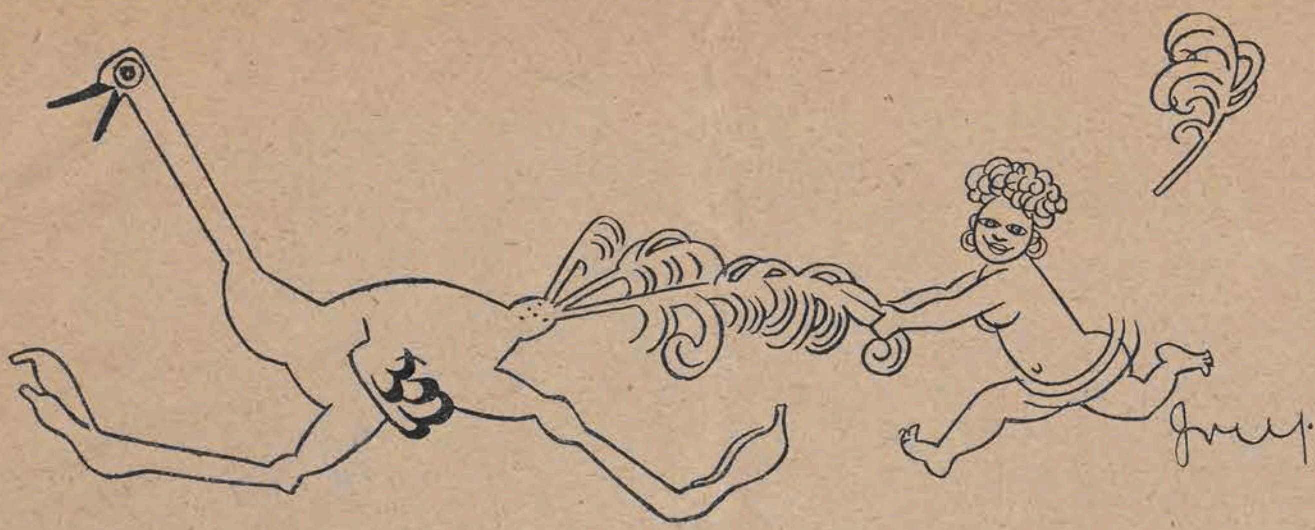
Dama, nie mogąc strzymać gorącości swoiey przyrodzoney, poddała się manierze wydwornego galana, zasromanie yednakowóż udając zgoła szczyre.

A kiedy odszedł galan, dama poczuła się bydź haniebnie pokaraną, tembarziey, ile że czuła krewkość swoią aże w głowie y w inszych częściach.

„Spaskudziłam sprawę przez głupią pakość!" — pomyślała y żałowała wieldze, a w głos rzekła:

— Rycerz to żaden by tak nie uczynił, ieno głupiec a kiep!

Rys. St. Rzecki



ELEGJA KWIECIA LIPOWEGO

... I oto
w miesiąca pełnię złotą
pachną mi lipy znów,
jak wtedy —
pamiętasz?
Cichutko mi nad skronią
woń miodną dzisiaj ronią,
jak wtedy...
Złocisty pogrzeb snów
i snów złocisty cmentarz —
pamiętasz?

Tak samo nam pachniały
te lipy za oknami,
gdyś jak kwiat drżący, biały
padała mi w ramiona,
w spazm jeden zamieniona —
tak samo nam pachniały
te lipy za oknami,
gdy blada, wyczerpana
miłością i rozkoszą,
pachnąca, by oskoła,
przez sen się uśmiechałaś
do sennych róż w ogrodzie,
do zórz na bladem niebie,
gasnących gwiazd dokoła —
przez sen się uśmiechałaś
do ptaków, iż go płoszą,
zdziwione twej urodzie.
A miesiąc, srebrząc ciebie,
ostatnią kładł pieszczotę
na usta twoie krasne,
na włosy twoje złote,
na twoje czoło jasne;
ku oczom, piers om, biodrom
szedł falą srebrną, szczodrą —
pamiętasz?...

Było nas kiedyś dwoje
promiennych dzieci słońca...
Pamiętasz,
jak nasze młode głowy
oprószył kwiat lipowy
o świcie modrym, jak twoje
najdroższe oczy,
po słodkiej nocy uniesień?...
Lecz przyszedł wiatr, co strąca
kwiaty, i chmura, co mroczy
słońce, i przyszła jesień
w wichrowej zawierusze;
rozwiała kwiat lipowy
i sny i nas rozwiała:
dwie obce sobie dusze,
dwa obce sobie ciała...
A pokój, ten nasz pokój —
pamiętasz?
co kiedyś róż był ogrodem,
dziś — cmentarz...
O serce, w pancerz się okuj!
na snów cię cmentarz powiodę...
I oto,
w miesiąca pełnię złotą
pachną mi lipy znów,
jak wtedy, pamiętasz?
pamiętasz?
Choć w sercu dziś ścierniska,
złocisty pogrzeb snów
i snów złocisty cmentarz,
takaś mi dzisiaj bliska,
jako to złote kwiecie
najdroższe lip, a przecie
tak bardzoś mi daleka
wśród dróg, gdzie nikt nie czeka,
krom śmierci i krom Boga!
Takaś mi dzisiaj droga,
jako to złote kwiecie
najdroższe lip, a przecie
sam nie wiem dzisiaj — za co?
Chyba za to wspomnienie,
którego nie opłacą
gwiazdy, nic nie wyżenie,
krom śmierci i krom Boga!...
Cichutko mi nad skronią
woń miodną lipy ronią,
jak wtedy —
pamiętasz?

Lipowy złoty kwiat
na skroń mi dzisiaj spadł,
jak wtedy...
I znów
złocisty pogrzeb snów
i snów złocisty cmentarz
rozpętasz,
lipowy kwiecie!...
Tu serca tylko grób
i łachman tylko duszy —
tam jasne szczęścia dziecię,
młodości smutnej kwiat,
kochanka złotych dni;
więc spadaj do jej stóp,
niech złoty śnieg twój prószy
sen szczęścia jej do duszy,
lipowy kwiecie,
niech ona słodko śni,
gdy dla mnie gromy burz!
Bo tak mi dziś kochana,
choć żal za gardło ściska,
bo taka mi dziś bliska,
choć krwawa piecze rana...
O prósz
by jej, lipowy kwiecie,
jak wtedy —
pamiętasz?...
— — — — — — — — — —

Bóg z tobą!
pokój nad czołem twem kochanem!
Niech cię kołysze w dal błękitną
po jasnej fali szczęścia łódź,
po różach jeno wonnych bródź!
Niech sny me w ogród ci rozkwitną,
gdy mnie wyrosły li kurhanem,
gdy nieprzebyte dziś nas dzielą kopce,
gdy drogi nasze dalekie i obce!
Bóg z tobą...

Mnie jeno skrzydła łopocą
lecących w dal żórawi
bezgwiezdną nocą
i gra huragan spadających gwiazd,
snów ołowianych ciężar dławi
i biją dzwony tajemniczych miast,
gdzieś w zatopionej Atlantydzie,
i kładą jezior złe bogunki
na usta zimne mi całunki,
i wiatr ogromny ku mnie idzie
i pożar woła coś niesamowicie...
Tam pójdę — twórca samotny — w żórawie
szlaki podgwiezdne, a w dole zostawię
życie;
a w dole zostawię
najkrwawsze
z serc — serce moje!
Lecz nim odejdę na zawsze
w mroczne, gwiaździste podwoje,
nim ślub upiorny wypełnię —
w miesiąca złotą pełnię,
kiedy cicho nad skronią
lipy woń miodną ronią,
o szczęściu czyjemś gwarząc, hejże,
raz jeszcze przedtem się obejrzę
na snów złocisty cmentarz,
złocisty pogrzeb snów,
w marzenia dal błękitną!
I znów,
tuląc do piersi złote kwiecie,
rzeknę ci, jasne szczęścia dziecię,
przez łzy:
— Niech sny me w ogród ci rozkwitną,
a w tym ogrodzie niech ci pachną bzy,
śmieją się grządki różowych stokroci
i stopy pieszczą gałązki rezedy;
niech ci się kwiat lipowy złoci,
jak wtedy...

I oto
w miesiąca pełnię złotą
pachną mi lipy znów,
jak wtedy —
pamiętasz?
Cichutko mi nad skronią
woń miodną dzisiaj ronią,
jak wtedy...
Złocisty pogrzeb snów
i snów złocisty cmentarz —
pamiętasz?

JÓZEF RELIDZYŃSKI

TUALETA NA SCENIE

Poiret w swojej konferencji, wygłoszoszonej w Salonie Jesiennym, mówi o teatrze temi słowy:

„Skarżyłem się nieraz, że dostawcy toalet nie mają żadnego kontaktu z dekoratorem, szewc z perukarzem, a wszyscy razem nie znają treści sztuki aż do premjery, to tłumaczy niezwykłą sałatę, której świadkami są widzowie.

Kolory sukien wyją zazwyczaj na tle dekoracyj; peruki Louis XV są zbyt białe; meble niedopasowane do tła, gdyż wypożyczone od składnika, który dał to, co miał pod ręką i t. p.

Ażeby wybrnąć z tej anarchji szuka się ratunku u elektrotechnika, ten topi całą scenę w żółtem lub czerwonem świetle, puszcza w ruch prożektory, zabijające wszelkie wartości kolorystyczne i ma się złudzenie, że się stworzyło arcydzieło inscenizacji."

Tyle wielki twórca mody wielkich scen paryskich, a cóż mają powiedzieć nasi maluczcy kostjumerzy naszych małych scen? O ile trudniejsze oni mają zadanie!

Dość popatrzeć na toalety pani Niewiarowskiej z „Wieszczki Karnawału" ażeby wspomnieć słowa mistrza o sukniach, gryzących się z tłem dekoracyj.

Suknia czerwona pierwszego aktu (niebrzydka sama przez się) staje się nie do zniesienia na tle secesyjnej pstrokacizny i trywialnych kostjumów chórzystek. Jeśli zaś przypuścić należy, że treść sztuki do pewnego stopnia wpływa na sposób ubierania się bohaterki, to trudno uwierzyć, ażeby księżna z rodu panującego przyszła półnaga i tańczyła w atélier malarskiem, nie będąc nawet zażenowana przybyciem książęcego narzeczonego. Ostatni akt wynagradza dwa pierwsze pod względem toaletowym, gdyż obydwie suknie p. Niewiarowskiej są bez zarzutu: jedna półstylowa ze srebrnej lamy z zielonemi piórami, druga czarna, drapowana z etolą gronostajową.

I u nas zresztą, tak jak i w Paryżu, zdarzają się przedstawienia zupełnie udane pod względem toaletowo-dekoracyjnym. Do tych należy bezwzględnie „Szafir", grany do niedawna w Teatrze Komedja, w pomysłowej inscenizacji p. Biegańskiego. Dzięki umiejętnemu stosowaniu świateł i cieni, uzyskała p. Owczarska sukces nietylko swoją poważną grą, ale wprost malarskiemi efektami.

Negliż jej z różowej fulgurante, przybrany ciężką srebrną koronką, obramowaną skunksami, lśnił tysiącem błysków w świetle ognia z kominka. Suknia zaś ostatniego aktu z gniecionej złotej lamy miała chwilami fosforyczne odblaski, co potęgowało wrażenie demonizmu.

Ze zwykłą w teatrach pod dyrekcją p. Szyfmana starannością wystawiono „Zabawę w Miłość" Kiedrzyńskiego. Na tle obojętnych, ale nieprzeszkadzających aktorom dekoracyj, pozuje się bardzo pięknie pani Mila Kamińska, bez zarzutu w swoim kostjumie białym w żółte pasy; a już zupełnie pięknie w drapowanej sukni ze złocistej charmeusy, która niezwykle uwydatnia jej ładne linje.

Rywalizująca w sztuce z główną bohaterką p. Gella nie daje się prześcignąć również pod względem toaletowym.

Pokazuje się jednak, że nie sukniami usidla się męskie serca, gdyż z tych zapasów zwy-



Fot. St. Brzozowski

JANINA OWCZARSKA

„SZAFIR" TEATR KOMEDJA

Suknia z gniecionej złotej lamy przybrana czarnemi strusiemi piórami.

cięsko wychodzi „ta trzecia", panna Kościeszanka, bardzoskromnie, jak każe autor, ubrana.

W „Historji z nieprawdziwego zdarzenia" Krzywoszewskiego, z dużą przyjemnością ujrzeliśmy znowu śliczną twarzyczkę panny Majdrowiczówny, z zagadkowym uśmiechem Monny Lizy, która czaruje widza i jednocześnie w błąd wprowadza, bo nie pozwala zorjentować się w psychicznym stanie duszy bohaterki.

Suknie bardzo pięknie zharmonizowane z urodą p. Majdrowicz, niezawsze pomagają do rozwiązania problematu, czy bohaterka martwi się, czy też cieszy się w danej chwili.

Kostjum drugiego aktu z granatowego sukna w połączeniu z suknem niebieskiem haftowanem srebrem, podnosi przyrodzony wdzięk jej twarzy, jak również szata z popielatego velour chiffonu uwydatnia gibkość jej kształtów.

Pełna wdzięku jest pani Gistedt w „Narzeczonej Lukullusa" w swoich pomysłowych toaletach, a raczej ich braku. Rzadko która artystka może sobie pozwolić na tak śmiałe rozebranie się na scenie, które nietylko nie budzi zgorszenia, lecz przeciwnie, daje wrażenie estetyczne dużej miary.

Zawdzięcza to p. Gistedt nietylko swojej niezwykłej budowie, ale i temu czemuś, co się nie daje ściśle określić, ale co jest napewno wielkim artyzmem.

H. Z.



Rys. W. Modrzejewska

Suknia z charmeusy żółtej haftowanej srebrnym dżetem

Suknia z brokatu zielonego ze srebrem i koronka srebrna



MARJA MAJDROWICZÓWNA

HISTORJA Z NIEPRAWDZIWEGO ZDARZENIA

TEATR POLSKI

(Modele G. Zmigrydera)



Kostjum z granatowego sukna, rękawy i boki pastelowe niebieskie, haftowane srebrem, obramowanie z popielatych muflonów.

Suknia z białej georgetty, spódnica całkowicie przykryta puklami z żółtej georgetty.



Suknia z jasno popielatego velour-chiffonu, rękawy tworzące skrzydła z popielatej georgetty zakończonej szeroką frendzlą ze szneli.



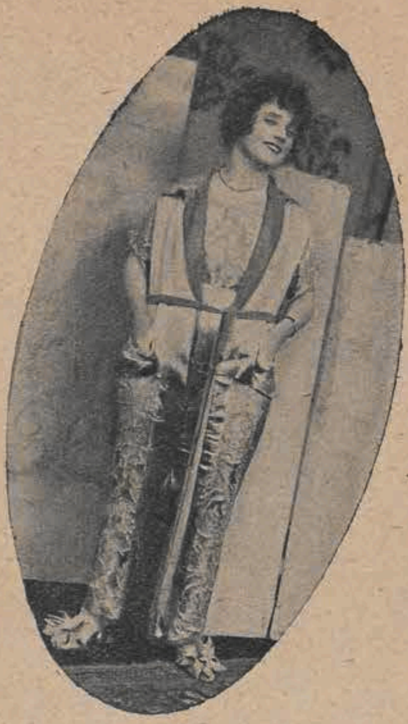
Toaleta balowa z zielonego brokatu, skrzydła z zielonej georgetty, przytrzymane brylantowemi sznurami

MONIKA KRYSTYŃSKA

w farsie

SIMONA JUŻ JEST TAKA

TEATR KOMEDJA



Pyjama z szarej fulgurante ze srebrną koronką podbita, fraise georgettą



Futro sobolowe z domu mód Bogusław Herse

Suknia z białej georgetty, przybrana kwiatami aplikowanemi z jedwabiu



Tea gown z srebrnego brokatu chiné, obszyty szaremi małpami



Toalety wykonane w pracowni Gustawa Zmigrydera

Fot. St. Brzozowski

INTERES PANI LALI

Raniuteńko — o pierwszej — mocny telefon.

— Kto mnie budzi? Słucham...

— Jak się pan ma, panie Karolu?

— Omyłka! Żadnego Karola tu niema, do stu...

— Ach, to pan, panie Kaziu? Co za traf szczęśliwy.

— Jak dla kogo. Kto mówi?

— Nie poznaje pan? A fe... Lala.

— Najmocniej przep... rzeczywiście... Moje uszano... Całuję rączki pięknej pani.

— Teraz, to pan grzeczny, a przed chwilą?

— To tak ze snu, bo... pardon, ale jestem jeszcze w łóżku...

— Tem bardziej winien pan być grzeczny dla damy.

— Zapewne. Ale szanowna pani dzwoniła do jakiegoś pana Karola. Cóż to za Karol? Zmusza mnie pani do zazdrości skoro świt.

— Dzwoniłam do pana Karola. Wie pan, ten blondyn z Ministerstwa Wyznań...

— Miłosnych?

— Proszę być grzecznym. Dzwoniłam do niego, bo do pana dodzwonić się nie sposób. Co podam numer, to nie ten. Z rozpaczy więc dzwoniłam do niego.

— Pod mój numer?

— Nie moja wina, że panowie mają ten sam numer.

— Pani Lalo. Nie znam żadnego Karola — żadnego blondyna — z żadnego ministerjum.

— Więc to widocznie znów te nieporządki w telefonach... Mniejsza z tem. Dość, że mam do pana bardzo, ale to bardzo ważny interes.

— Zamieniam się cały w tubkę.

-- Co takiego?

— Słucham!

— Aha... Nie, nie. To się nie da powiedzieć przez telefon.

— I dlatego pani telefonuje?

— Właśnie!

— Słucham tedy.

— Boże, jaki pan niekonsekwentny. Jakże panu powiem, kiedy to, powtarzam — przez telefon się nie da. Proszę przyjść, ale to zaraz, do Ziemiańskiej.

— Niepodobna.

— Naturalnie, jak kobieta prosi, to wy tak zawsze.

— Mogę służyć za pół godziny.

— Nieznośny pan jest. To takie pilne. Czemuż nie zaraz?

— Bo mnie w kołdrze zaaresztują na ulicy, a potem nie wpuszczą do Ziemiańskiej.

— Gdyby wszystkich, których aresztują, nie wpuszczali do Ziemiańskiej, właściciel zbankrutował-by. Proszę się więc przebrać z kołdry w co przyzwoitego i przyjść.

— Będę nieodwołalnie i punktualnie za pół godziny.

— Gdybyście, wy, mężczyźni, wiedzieli, czem może być nieraz w życiu kobiety takie wasze pół godziny, nie byłoby na świecie tyle nieszczęśliwych kobiet.

— Obudziła mnie pani zupełnie, a we mnie demona niepokoju. Będę za kwadrans.

— Niechże będzie i za kwadrans! Czekam.

Trach! Rozłączone!

Poranne galopy w zimie — parbleu. Toaleta w tempie rekordu strażackiego. Guziki od kamizelki zapięte na dziurki od marynarki. Jeden getr szary, drugi bronzowy. Coś tam z konfekcji czuję, jak się... Mniejsza z tem. Kwadrans. Ziemiańska. Pani Lali niema. Stoję. Drugi kwadrans. Pani Lali niema. Siedzę. Trzecie pół godziny. Godzina. Zresztą znów pół godziny. Pani Lali niema. Widocznie nie zdążyłem. A więc musiało się stać to nieszczęście, o którem mi tak tragiczne robiła aluzje...

Idę do telefonu. Może już przynieśli ciało. Dowiem się zawsze czegoś.

— Hallo... Mieszkanie, broń Boże, ś. p. pani Lali?

— Naturalnie, to pański niesmaczny żart, panie Stanisławie?

— Jaki znów Stanisławie? To ja mówię. Więc pani w każdym razie, dzięki Bogu, żyje? A ja tu czekam już dwie godziny w Ziemiańskiej.

— Ah, to pan, panie Kaziu? Dzień dobry. Ale pan jest sobie paradny. Dlatego, że pan czeka dwie godziny w Ziemiańskiej, to ja mam zaraz nie żyć? Także coś .. Logika iście męska. A co pan tam zresztą robi?

— Jakto? Kazała mi pani przyjść czemprędzej do Ziemiańskiej, bo...

— Ja? Do Ziemiańskiej? W imię Ojca...

— Psia... pardon... To te głupie warszawskie telefoniczne kawały. Ktoś, udając dziś panią...

— Żaden ktoś, mój panie, tylko ja sama.

— Teraz, doprawdy, nic nie rozumiem.

— Naturalnie. Jak się komuś mówi najwyraźniej, żeby przyszedł do Lursa, a on rozumie do Ziemiańskiej, to rzeczywiście nic nie rozumie.

-- Ależ, kiedy...

— Proszę się nie tłumaczyć. Nie pierwszy raz przytrafia mi się to z wami, moi panowie. Czekałam na pana u Lursa przez całe pół godziny. I co teraz?

— Bo ja wiem.

— A ja mam taki ważny interes do pana.

— Słucham.

— Boże, daj mi cierpliwość archanioła. Mówiłam, że przez telefon nie można. Niema co, niech pan zaraz przyjdzie do mnie. Kończymy właśnie obiad. Jest wprawdzie pan Jan, jest Niuniek, jest i pan Wincenty.

— Nie znam.

— Ah, ten, co tak wygląda na Alfreda. Mniejsza z tem. Proszę tedy na czarną kawę. Znajdziemy wolną chwilkę i powiem panu wszystko. Tylko zaraz. Nie tak, jak poprzednio. Czekam.

Dla kobiety człowiek gotów pójść nawet na poobiednią kawę—naczczo. Mieszkanie pani Lali. Śliczny buduarek, cały w stylu pro-arte et... Librowicz. Wszystkich możliwych kształtów kolorowe poduszki, nawet na stoliku. Sześć różnych lamp, siódma na piecu. Zresztą każda przykryta innym pstrym gałgankiem! Abażur w kształcie spódnicy u sufitu, dama w spódniczce w kształcie abażura na etażerce. „La vie parisienne" na dywanie, rozkraczona lalka na „La vie parisienne". Maska Bethovena, otulona mimo ciepła szalem. Modern!

Czekam. Za ścianą gwar obiadowy. Pół godziny. Godzina. Obiad skończony. Czarna kawa w buduarze. Pan Jan. Pan Niuniek. Pan Wincenty, wyglądający na Alfreda. Jakaś bezpłciowa Francuzka. Likiery. Konwersacja. „Szafir", „Męczennica miłości"... Mesal... prawica... lewica... Nowaczyński... drożyzna... toalety... Kto gra „Popasa" w „Królu Jegomości", inflacja... toalety...

— Pani Lalo, miała mi pani... Nie słyszy! jest niesłychanie zajęta karjerą Poli Negri w Ameryce i rozlanym na poduszkę przez pana Niuńka Cointreau... Seryjka anegdotek. Druga seryjka plotek. Nareszcie wkońcu zażarta dysputa polityczna. Panowie poczynają mówić to, co do tej pory jeden o drugim myślał. Bardzo nieprzyjemne.

— Pani Lalo, miała pani interes.

— Ah, prawda. Dziękuję panu! Przypomniał mi pan, że mam bardzo ważny interes. O szóstej sesja mojego „Żłobka" u pani prezesowej. Panowie tą dysputą czynicie taki hałas, że muszę głośno myśleć, żeby siebie zrozumieć. Boże, już szósta! Przepraszam, ale obowiązek przedewszystkiem...

Wychodzimy. Panowie wogóle przestali ze sobą rozmawiać.

— Pani Lalo. Miała pani do mnie interes.

— Ja?? Do pana??

— Przecież przyszedłem tu po to z Ziemiańskiej, gdzie czekałem..

— A prawda... prawda... Ja, to ja interes miałam do pana?

— Właśnie jestem ciekawy!

— Zapomniałam! Tyle spraw na głowie. Boże... już po szóstej... Spóźnię się... Do widzenia, panie Kaziu... No... widzi pan... i zapomniałam...

— Ale ja będę pamiętał.

— Z pana — komik! Jakże pan będzie pamiętał to, o czem ja zapomniałam... Adieu!...

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI

PREMIERA W OPERZE

Połóg góry zakończył się szczęśliwie: nie mysz się urodziła, lecz kawaler, i to piękny i miły jak Janina Gołkowska, i w dodatku ze srebrną różą.

„Kawaler z srebrną różą" przyniósł Ryszardowi Straussowi wiele cierni. Nie ziściły się oczekiwania jakiegoś nowego rodzaju utworu scenicznego, ani też odnowienia wielkiej formy komedjowo-muzycznej w roli arcydzieła Rossiniego „Cyrulik Sewilski" albo Mozartowskiego „Wesela Figara". Hugo von Hofmannsthal, nadworny librecista Straussa, umiał pięknie zmodernizować „Elektrę" Sofoklesa i stworzyć w niej temat do posępnej, nieubłaganej opery dramatycznej—ale okazuje się, że być drugim Beaumarchais'm jest daleko trudniej, i napisać tekst wesoły a nie błahy i nie wymąkolony może się udać tylko Francuzowi. „Kawaler" to nie srebrna piana, zebrana na morzu epoki lub rasy, nie szumi pod nią nic wielkiego ani ciekawego, nie jest kwiatem drzewa rozłożystego, ani promieniami słońca włoskiego, lecz poprostu figlem kawałem, ale tak długim, że można go zamputować—zwłaszcza w trzecim akcie, i wtedy dopiero nabrałby celności.

Czy zyskałby też na komizmie i wesołości? Wątpię. Pomimo, że złowiono w matnię starego opoja i lowelasa, jakim jest baron Ochs von Lerchenau i schwytano go na gorącym uczynku schadzki z piękną pokojówką—widz się nie śmieje, czeka końca awantury. Cały „witz" zaś polega na przebieraniu się kawalera Oktawiana. Raz jest on paziem, którego pieszczotami żegna swą młodość erotyczna Księżna, potem pokojówką, potem kawalerem, przynoszącym srebrną różę oświadczynową przyszłej narzeczonej barona, wreszcie znowu pokojówką. Te metamorfozy różnie się udają p. Gołkowskiej. Jako kawaler w białych atłasach i przy szpadzie jest urocza, jako paź ze źle ustabilizowaną plastyką kobiecej figury, każe mocno wątpić o swej męskości.



Fot. St. Brzozowski

MILA KAMIŃSKA

„ZABAWA W MIŁOŚĆ" TEATR MAŁY

Suknia ze złotej charmeusy spięta dużą zieloną klamrą wykonana w pracowni „Dom mód B. Herse".

A muzyka? Ryszard Strauss nie napisze partytury lichej. Może conajwyżej zejść z wyżyn wielkiego stylu, którym tchną „Salome", „Elektra" i wspaniałe jego poematy symfoniczne, jak „Śmierć i Wyzwolenie", „Don Kichot" lub „Sowizdrzał" może sprytnie i nawet kabotyńsko chcieć schlebiać gustom niewybredniejszym, ale ani wdzięku, ani dowcipu, ani rasowej łatwości pięknych tematów — zaprzeczyć mu nie podobna. Potok żywego srebra, jakim jest jego migotliwa i świetna ilustracja orkiestrowa, zawsze zajmuje a często zachwyca. W „Kawalerze z różą" wielkich pomysłów nie ma, ale nie brak bogactwa przyjemnych, wśród nich zaś słodko brzmią rozrzucone, jak złote skry, strzępy walca wiedeńskiego, tak całkiem wiedeńskiego, jak walce Jana Straussa lub Lannera. Niby jesteśmy tutaj w epoce Marji Teresy, i o tem nam mówią przepyszne obicia, meble i portjery, ale duch tych walców jest bliższy „Zemście Nietoperza".

Śpiewali i grali różnie. Niema wątpliwości, że mieli zadanie nad wyraz trudne, już chociażby w ogarnięciu pamięcią linji melodyjnych, tak niepodobnych do linij innych oper. Wielką partję poważnej zadumy i rezygnacji dźwigała p. Zboińska - Ruszkowska, jako Księżna. Gdybyż charakterystyka jej stała na poziomie wielkiego kunsztu śpiewaczego! Mniej więcej to samo powiedzieć można o p. Gołkowskiej. Wogóle, co do strony aktorskiej, to nie wszyscy wyzyskali swoje szanse, żeby stworzyć żywe figury, np. p. Czapska została dość niewyraźną Zofją Faninal. Prym dzierżył jako aktor, no i jako doskonały śpiewak mnóstwa swoich recitatywów: p. Palewicz. Jest to bodaj najtęższy—nie mam na myśli strony fizycznej—filar warszawskiego „Kawalera z różą".

Szczegółowe obrachunki możeby „Panią" znudziły. Niech więc wystarczy jej zapewnienie, że operę prowadził p. Rudziński, wielce muzykalny wychowaniec Wiednia.

C. J.

SUR LES DIFFERENTS ASPECTS DU CHARME DE LA FEMME

Que dira jamais ton charme, ô Femme!...

Ton charme? — c'est qu'il est fait de tout et de rien, de la façon de glisser un regard, d'appuyer une parole, de la manière de mettre un peu de poudre, aussi bien, que de la manière, dont ce peu de poudre est mis!...

La diversité du charme féminin est infinie. Ses subtilités sont nombreuses, minimes et indéfinissables la plupart du temps, car elles résident surtout en des nuances si fines, qu'elles sont presque insaisissables.

Pourtant, on peut dire, que les facteurs primordiaux et principaux de ce charme sont deux, nettement distincts et que, malheureusement, certaines femmes, même privilégiées par la nature, ne savent pas faire fusionner aussi parfaitement, que le souhaiterait l'artiste, dont le désir ambitieux tend à la perfection.

Il y a donc à proprement parler, deux espèces de charme chez la femme: le charme naturel dû à l'apparence physique et aux qualités de goût et d'élégance que l'intéressée sait y joindre un peu artificiellement, et par les soins de beauté, et par l'agrément du costume.

Que de femmes dégagent ainsi un charme réel, pénétrant, voire même enivrant, parce qu'elles sont, ou paraissent belles!

Mais ce n'est, là encore, qu'une forme banale de ce charme si multiple, si divers...

La raffinée y joindra un autre, plus subtil, moins évident aux yeux de tous, mais qui transportera d'aise le connaisseur, qui aura eu l'idée d'étudier cette femme et de l'observer un peu plus longuement. Et combien les autres, celles qui ne possèdent pas ce genre de charme — là, lui sembleront alors pauvres!

La plus jolie personne, même la mieux habillée et la mieux arrangée, qui ne sait être qu'une jolie femme bien habillée et bien arrangée, lui paraîtra dès lors aussi peu intéressante, qu'une ravissante poupée de cire.

C'est que, chez l'autre femme, il sentira vibrer une âme que rien ne lui permettait de soupçonner chez la première.

Oh, une âme... et un coeur!... et tout est transformé.

La femme qui se donne la peine de vouloir charmer (si elle sait s'abstenir de tomber dans l'excès contraire qui est, lui aussi, fort repréhensible, car rien n'est plus pénible, que ce, qui sent l'effort...) — celle-là plaira doublement.

N'avez-vous pas remarqué bien des fois, combien l'amour, par exemple, embellit une femme? Même un profane qui ignore tout de la vie intérieure de cette femme, se rend fatalement compte, neuf fois sur dix, de sa réelle métamorphose physique. C'est que l'amour lui ajoute un charme nouveau, puisqu'elle est, avant tout, désireuse de plaire à l'être aimé. Ce désir de séduction, cette volonté de plaire, est souvent inconsciente chez les personnes qui s'analysent peu. L'exemple n'en est que plus probant, car comment expliquer ce changement évident même pour les indifférents, sinon comme un réflexe de l'âme?

Mais, hors l'amour, il est des femmes qui savent dégager un charme similaire, lui aussi venu du dedans, et c'est à celles-là que vont tous mes suffrages.

Car la seule beauté extérieure ne se renouvelle pas constamment.

Telle une jolie fleur, elle finit un jour par s'étioler, se fâner, se flétrir et rien ne saurait, dès lors, la rendre à la vie lumineuse.

Ce charme-là me fait penser à un beau feu de cheminée, dont on a allumé toutes les bûches en une seule fois. C'est un joli coup d'oeil, assurément, mais avec le temps, le feu baisse, puis s'éteint: rien dès lors ne saurait le ranimer... Il n'en reste plus, que des cendres...

Tandis que l'autre charme, celui qui réside en des qualités de coeur, celui-là me fait songer au feu sacré, qu'entretenaient les Vestales. Moins brillant, peut-être, il ne nous transporte pas d'une joie subite et immense par la magnificence de son apparence, mais il est éternel, car la gardienne vigilante veille et l'empêche de jamais mourir!...

Le charme féminin est infini et ses aspects sont innombrables. Pourtant, on peut en saisir deux essentiels: l'un tout d'éclat extérieur, de santé, de force, de volonté de plaire par les artifices de la toilette et le brio de la conversation.

L'autre profondément mystérieux, enveloppant, intérieur, d'un éclat et d'une douceur d'étoile, aussi attirant qu'insaisissable, aussi pur que captivant, joignant les qualités de coeur à celles de l'esprit, moins soucieux de briller que d'admirer la beauté.

Le premier s'use sans se renouveler, le second se nourrit continuellement de toute la beauté du monde et la reflète.

A l'un et à l'autre conviennent des femmes différentes. *).

ANTOINE CIERPLIKOWSKI

---

*) Artykuł powyższy naszego współpracownika paryskiego, znanego charmologa polskiego we Francji p. Antoniego Cierplikowskiego, podajemy Sz. Czytelniczkom w oryginale. (Przyp. Red.).



Perruque Louis XVI en rubans argent apprêtes; dernière nouveauté

NAJNOWSZE UBRANIA GŁOWY

nadesłane z Paryża przez p. A. Cierplikowskiego (ANTOINE, Paris, rue Cambon)



Coiffure du Soir Cheveux courts — tissu argent raphia



Ornement de Grande Cérémonie avec boucles d'oreilles coupées en morceaux de glace moute par un fond lainé argent



Coiffure „Crête de Coq" pour le théatre



Turban de couteaux argent pour grands diners — cheveux courts

HARRY PEEL & EDDIE POOLO

W obrazach kinematograficznych, jak i w każdej sztuce, wytworzył się pewien konwencjonalizm i pewne szablony, które nas poczynają razić. Poza wszelką twórczością filmową przodującą całej sztuce współczesnej, istnieje wielka ilość obrazów o poziomie przeciętnym. W filmach detektywnych, od których nie wymagamy walorów artystycznych, bawi nas zwykle sensacyjna fabuła i karkołomne przygody. Jako gorący adorator tego rodzaju obrazów, czuję się dotknięty pewną monotonją typów i kanonami obowiązującemi przestępców i detektywów. Żaden obywatel państwa nie ma tak ułatwionej pracy jak wyłamywacz i bandyta. Tysiące filmów uczą go metody postępowania z ofiarą, podsuwają mu pomysły i wreszcie dają wyraźne instrukcje co do ewentualnej ucieczki. Zajęcie złodzieja nie wymaga dziś inwencji i pomysłowości. Przyjrzyjmy się temu, jak wygląda i co robi przepisowy przestępca kinematograficzny.

Ponieważ pismo to poświęcone jest modom, kurtuazja każe nam zacząć od ubrania.

Złodziej, aby być niedostrzeżonym i niezauważonym przez nikogo, ubiera się zwykle w czarny, obcisły trykot i maskę, i w ten sposób przemyka się przez korytarz hotelowy, bez względu na porę dnia i frenkwencję hotelu.

Złodziejowi nie wolno kraść pieniędzy, futer lub innych drobiazgów — przeważnie musi on wynaleźć ukryty plan zakopanego skarbu; w braku powyższego, a w drodze wyjątku, zabiera kolję perłową. (Kolczyków nie wolno!) Często porywa także młode kobiety, które usypia przedtem chloroformem.

Gdy wzorowy bandyta pragnie podsłuchać cudzą rozmowę, w najprostszy sposób włazi na słup telegraficzny (?) przecina drut i nakłada słuchawkę. Oczywiście, w razie ukazania się policji następuje zwykle przechodzenie po drucie na rękach do pięciopiętrowej kamienicy, ucieczka po domach, walka na skraju dachu i t. d.

Złodziej ma zawsze przy sobie pieniądze i jeździ własnym samochodem, jest więc człowiekiem zamożnym, z czego wynika, iż kradnie tylko dla samej rozkoszy. Gdy przypadkowo ucieka przed policją w samochodzie zwykle przesadza barjerę kolejową i przebiega przed pędzącą lokomotywą. Samochód taki bywa potem zrzucony z mostu, lub, zgruchotany w przepaści. Policja zwykle przyjeżdża w chwili, gdy szlaban kolejowy już zamknięty. Szoferom złodzieje nigdy nie płacą, nawet za małe, bagatelne ucieczki w obrębie miasta. Przyzwoity bandyta nie czuje się jednak szczęśliwy bez aeroplanu. Wstyd mu, martwi się i gryzie z tego powodu — ratuje się zwykle łapaniem ludzi na lasso i temu podobnemi drobiazgami, ale widać, że mu to nie wystarcza. Niestety, gdy już ma aeroplan, marzy i śni po nocach o łodzi podwodnej, która jest szczytowym etapem w karjerze bandyty.

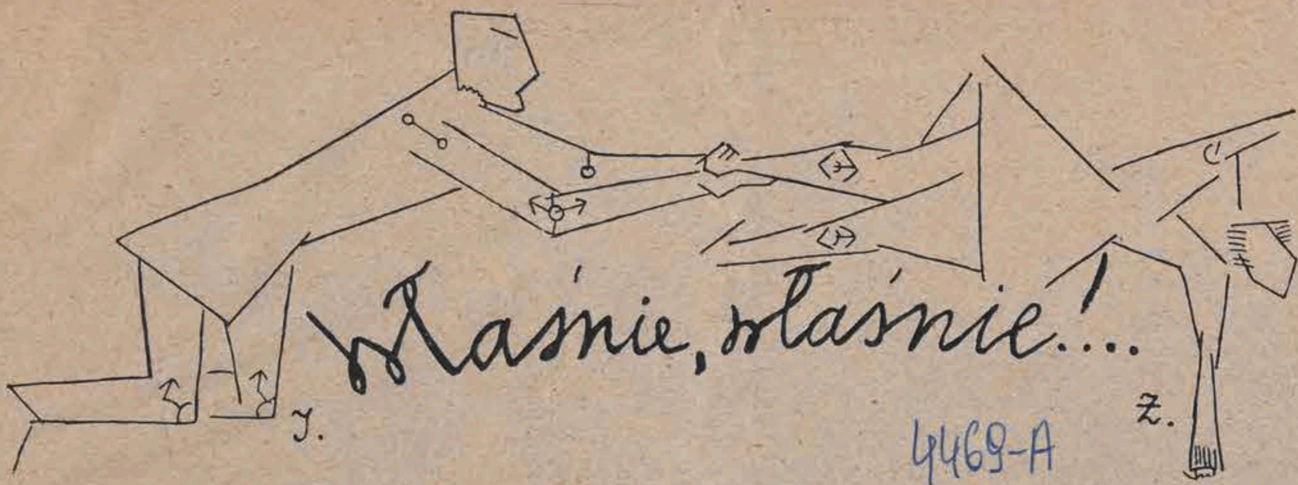
Stosunki rodzinne i życie prywatne bandyty pozostaje zawsze w ukryciu. Czasami widzimy siostrę lub kochankę wyłamywacza — ciotki nie udało mi się jeszcze nigdy zobaczyć.

Kochanka bandyty jest zwykle panną służącą w domu miljarderów. Raz widziałem wuja złodzieja, ale była to epizodyczna postać, której rola ograniczyła się do wydziedziczenia siostrzeńca w pierwszym obrazie pierwszej serji.

Detektyw ścigający bandytę odznacza się zwykle wielką siłą fizyczną i pewnem ograniczeniem umysłowem. Wchodzi on chętnie do wszelkich nor i spelunek złodziejskich, gdzie zostaje związany i przechowywany starannie aż do następnej serji. Utarło się nierozumne prawo bicia detektywów kijem po głowie. Uderzenie takie nigdy nie bywa szkodliwe, wprowadza tylko ajenta w pewien stan oszołomienia, które mija szybko. Dziwi mnie, iż nie znalazł się jeszcze człowiek, któryby uprzedził detektywa o niebezpieczeństwie, grożącem mu ze strony pułapek i zapadni, jakie mają wszystkie mieszkania odnajmowane przez bandytów. To samo tyczy się tajemnych przejść i ukrytych korytarzy. Dziecko każde wie, że wystarcza nacisnąć guzik przy kominku, aby otworzyło się wygodne przejście do kamery, w której ukryta jest córka miljardera. Zdrowie fizyczne detektywów napawa mnie podziwem i trwogą. Widziałem obraz, którego serja pierwsza kończyła się wstrząsającą sceną. Detektyw, otruty podstępnie i zasztyletowany, został zrzucony w zawiązanym worku do Tamizy. Następna serja zaczynała się od napisu, który nam lakonicznie oznajmiał, iż detektyw powoli przyczodzi do zdrowia. Nie wiem, czy życie pozwoli mi kiedy spotkać się z tym człowiekiem, ale pragnąłbym gorąco powiedzieć mu parę słów na osobności i uczynić mu pewną nieco drażliwą — propozycję.

ANTONI SŁONIMSKI





literatura

Jedna z najpiękniejszych powieści literatury współczesnej, J. Conrada „Fantazja Almayera", została przełożona na język polski. Przetopiona na dźwięczną bardzo polszczyznę egzotyczna historja o osadniku holenderskim brzmi, jak symfonja, jak utwór muzyczny: na tle pięknego *larga* krajobrazu podzwrotnikowego wiją się motywy poszumu morza, kantylena o miłości malajskiego księcia, tragiczna pieśń o człowieku samotnym.

Wstęp do tej książki pisał Stefan Żeromski. Mistrz prozy polskiej mówi o mistrzu prozy angielskiej i odtwarza ów jedyny może w dziejach fenomen literacki: w roku 1874 młody chłopak, Józef Konrad Korzeniowski, wyrusza z Krakowa ku morzu. W dwadzieścia lat później, marynarz i przybysz z krajów dalekich, jest chlubą piśmiennictwa angielskiego, klasykiem, jednym z najlepszych powieściopisarzy w literaturze świata...

Jak klamra z drogich kamieni spina żywot znakomitego autora i jego tragicznego bohatera motto, zaczerpnięte z pamiętników Amiela: *Qui de nous n'a en sa terre promise son jour d'extase et sa fin en exil?*

Rozprawa Żeromskiego „Snobizm i postęp" dowodzi, że mistrz Stefan nietylko mieczem lśniącym wojować umie. Kiedy lekkim floretem feljenisty w ciżbę matołów literackich uderza, kiedy metodą francuską i włoską—niezawodne ciosy i pchnięcia rozdaje, kiedy w snobizm pseudotwórców i w nadętą pyszałkowatość naszych sław dziennikarskich bije—serce się w czytelniku raduje. Zaprawdę, długo jeszcze płacz słychać będzie i długo jeszcze panowie „krytycy i recenzenci warszawscy" razy kłute i cięte plasterkiem kurować będą musieli.

W Paryżu znów wchodzą w modę dzienniki, a raczej miesięczniki „mówione". P. Ferdynand Demeure zorganizował taką „Revue Recitée", Paul Fort deklamuje wiersze, ktoś inny recytuje z pamięci sprawozdanie z wystaw, ktoś jeszcze inny—przegląd teatralny.

Pomysł jest doskonały. Wobec szalonych kosztów drukarskich, wobec zupełnego braku tygodników literackich i wobec całkowitego opanowania prasy przez ludzi, którzy się mocno trzymają za ręce, możeby i na nasz grunt warto było przenieść tego rodzaju instytucję?

Co sądzi o tem nasza młodzież artystyczna i co na to panowie ze „Skamandra"?

— CHRYZPE —

Autor głęboko mistycznej i romantycznej powieści „Linje Hofera" i niedawno wyszłej z druku śmiałej powieści erotyczno-politycznej „Jasny Hubert" nie jest bynajmniej wrogiem ani Don Juana ani Casanovy. — Owszem, jest nawet ich gorącym przyjacielem, a napewno też bardzo życzliwie usposobionym dla tych niezliczonych kobiet, które im były powolne. Jeśli zaś ma złość (niech nam wybaczą takie interpretowanie jego ostatnich utworów dramatycznych) na kobiety, to na takie, jak Meduza, którą zabija za to, że nie chciała pokochać Leonarda da Vinci (patrz „Meduza" Cezarego Jellenty), albo jak Klara, bohaterka „Baletnika" — za to, że nie była ślepo oddaną Bochwicowi.

Słowem, Don Juan i Casanova to tacy sami jego ulubieńcy, jak w swoim czasie Lord Byron, autor z najpyszniejszego z Don Juanów, o którym też ongi napisał książkę. O tych ulubieńcach swoich wygłosił świetny, niezwykle efektowny odczyt w Filharmonji. Była to bardzo ciekawa tkanina wywodów.

Jellenta wyróżnia Don Juana dawniejszego od nowoczesnego. Dawny, ten z legendy, a także Firso de Maliny Moliera, poniekąd Mozarta — to zdobywca i pojedynkowiec — bezlitosny i bezmiłosny. Jak najwięcej ofiar w uwiedzionych lub porwanych kobietach, i jak najwięcej ofiar w zakłutych rywalach — to jego hasło. Nowy zaś Don Juan już umie kochać. Don Juan Byrona — to sama miłość, sama zmysłowość i sam romantyzm à la Jan Jakób Rousseau. To nie uwodziciel, nie szyderca, nie dawny hiszpański „El burlador de Sevilla", lecz bierny, zepsuty pieszczoch kobiet, pełnych miłosnej inicjatywy.

Słynny Don Juan Zorilli jest znowu zuchwały, napastniczy, jak jego dawni poprzednicy — ale kocha naprawdę — tę kobietę, która jest mu bezgranicznie oddana. Przez tę miłość rycerską staje się zdolny do ukorzenia się przed Bogiem i zostaje ocalony. Nie idzie do piekła.

Co prawda — stwierdza Cezary Jellenta—Don Juanowi Byrona i jego następcom piekło nie było już straszne. Zamiast bowiem groźnego mściciela — Komandora przychodzi do niego w nocy śliczna księżna Fitz-Fulke. A jeszcze większym kpiarzem jest Bernard Shaw: u niego Komandor wprost skarży się na niebo, że niema tam ani jednej pięknej kobiety, „tylko same flondry — i to pod pięćdziesiątkę".

A Casanova?

Casanova jest człowiekiem realnym i urodził się nie z legendy, jak Don Juan, lecz na ziemi, w Wenecji, w prawdziwej Wenecji, gdzie potem więziony był w straszliwych strychach pałacu dożów



ANNA ROMEROWA — HELKA Z DZBANKIEM

„pod ołowiami" i skąd ucieczka jego jest historycznym, homeryckim czynem odwagi i brawury.

Casanova nie potrzebował dopiero przetwarzać się, odbywać ewolucyj i metamorfoz, jak Don Juan, lecz był odrazu jak gdyby Don Juanem z czasów romantycznych, nawet w wyższym jeszcze stopniu kochliwym, kochliwym bezmiernie i kochanym przez wszystkie kobiety.

Casanova, autor sławnych pamiętników, to według Cezarego Jellenty najbujniejszy pogrobowiec renesansu, najgenjalniejszy z dyletantów, natura nieprawdopodobnie bogata w pomysły naukowe, finansowe — nieraz bardzo niezgodne z etyką -- dyplomatyczne i t. p., a jednocześnie w przeżycia światowe. Jego miłości i miłostki, i szelmostwa erotyczne, liczone na tysiące, nie są niczyim wymysłem, lecz rzetelną prawdą—niesłychanie ciekawą, jedyną i osobliwą. — Casanova stał się dzisiaj aktualnym, bo dopiero teraz, pod wpływem awanturniczości całego świata, nauczono się cenić i rozumieć tego najwymowniejszego i najwspanialszego z szarlatanów, awanturników, zjadaczów serc niewieścich, znawców ludzi i narodów.

ST. R.



ANNA ROMEROWA W KOŚCIELE

sztuka

Po wystawie dorocznej w Tow. Zachęty, gdzie zgromadziło się około dwustu malarzów na wypłowiałem płótnieścian pałacu (przez małe „p") sztuki i znacznie więcej publiczności różnych ras i różnych klas (pod owemi ścianami), rozpoczął się sezon wystaw zbiorowych i bieżących.

Sprzątnięto „Byka" p. Lasockiego, okoniem stawiającego się sztuce p. Okunia zapomniano całkowicie, portrety malowane Kramsztykiem (proszę mi wybaczyć ten rusycyzm) wyjechały do Berlina. Rytmiści udali się w podróż do Przyjaciół Sztuki w Krakowie.

Obecnie w Zachęcie panuje kobieta, p. Anna Römerowa, w otoczeniu p.p. artystów: Dudy, Kidonia, St. Bukowskiego, Puffkego, Grombeckiego, Witoszyńskiego i potrosze Kossaka Wojciecha.

W Salonie Garlińskiego (Mazowiecka 16) wystawa uspokojonego wojaka Merzowicza Romana.

Ostatnio w murowance przy pl. Małachowskiego zamieszkała wraz ze swym „Satyrem", „Winawerem", „Jarciem", „Żukiem-Skarszewskim" i wielkim „Grzechem"—art. rzeźbiarka p. Olga Niewska

Na orjentacyjnej wystawie ceramiki niepotrzebny jest zupełnie „Złotoglin", potrzebniejszy „Janówek", prowadzony przez p. Mikę Mikun, bardzo natomiast potrzebne wyroby pp. Czarkowskich, Wandy Szrajberowej, a nadewszystko p. Czechowskiego.

muzyka

Zakalmaniła się operetka polska. Jednocześnie z „Bajaderą" w „Nowościach", która schodzi z afisza w pełni powodzenia, jedynie ażeby dać wytchnienie p. Messalównie (siedemdziesiąt pięć razy zrzędu, trzeba mieć i głos i zdrowie!) — zbiera laury druga rzecz Kallmana — w teatrze „Nowym".

Daleko trudniej niż wygrać i wyśpiewać sentymentalne, rozlewne, roztoczyste melodje autora „Czardaszki", jest móc sprostać jego konkursowi piękności. „Wieszczka karnawału" musi być koniecznie piękna i musi być podwójnie piękna. Mieć czar oblicza, ażeby rozkochać w sobie wszystkich tych cyganów, śród których przypadkiem znalazła się, i mieć te pyszne linje ciała, które intuicyjnie odczuł rozkochany w niej malarz i które przeniósł na płótno. Otóż p. Kazimiera Niewiarowska złączyła w sobie te dwie piękności. Była naprawdę urocza, jak to codziennie powtarza komunikat „Kurjera Porannego", i olśniła całą widownię rysunkiem swojej postaci, gdy ją ukazała zlekka spowitą w lila gazy, ażeby się zrobić podobną do fantazji malarza, śniącego o niej. Podobnie czystego rysunku ciała kobiecego nie widzi się — przynajmniej na scenie. Więc, oczywiście, p. Niewiarowska co najmniej tyleż uczyniła dla powodzenia operetki Kallmana, co on dla niej. Skwitowali się zupełnie.

Wszystkie sztuki tego kompozytora są przyjemne; tylko jedna — „Księżna Czardaszka" — posiada świeżość i muzyczne bogactwo inwencji jeszcze prawie dziewiczej, wiekuistej. „Bajadera" opiera się cała na jednym motywie przewodnim, od którego cała Warszawa dostała miłej kołowacizny. „Wieszczka karnawału" to jeszcze jedna kombinacja na temat: ktoś z księżną, albo któraś z księciem, i jeszcze trochę śpiewności i węgierskiej hurtownej tęsknoty na eksport. Ale wspaniała wystawa i cała strona malarska sceny i dekoracji — pozwala jej być godną rywalką „Bajadery" w „Nowościach", zaś świetna i inteligentna reżyserja p. Józefa Redo, zawsze skromnego i zawsze dającego wiele — podniosła wartość operetki o całe piętra. On też gra i śpiewa malarza, któremu dostanie się zachwycająca księżniczka. Malarzem dekoracji, śród których zwraca uwagę piękna ściana gobelinowa w głębi, jest p. Łagowski.

P. Niewiarowska i jej partner—p. Wład. Szczawiński — ona coraz lepsza śpiewaczka, on zaś zawsze żywy i elegancki w doskonałym sensie; Redo i w dodatku jeszcze Rufin Morozowicz, jako wyborny typ starego malarza-weredyka, to cztery asy, z któremi wygrać można każdą partję.

C. J.

Jak gdyby wtórując Offenbachowskiej skardze:

Młodzież się klasycyzmu zrzekła,
W kąt poszedł już paryski ton —

Zjawiła się przedziwnie klasyczna operetka z rzymskiemi tańcami, a nadto znajlepszemi reminiscencjami „Pięknej Heleny", „Orfeusza w piekle" i t. d.

„Narzeczona Lukullusa" ukazała namprócz niewymownej gracji i wdzięku p. Elmy Gistedt, taką w dobrym guście treść, tyle miłej i często nawet niezapożyczonej muzyki Gilberta—autora „Damy w gronostajach" — tak daleka jest od szablonu wiedeńsko-peszteńskiego, i z takim przepychem została przez teatr „Nowości" wystawiona, że wrócimy do niej jeszcze na dłużej w następnym numerze. Teraz jużbyśmy nie zdążyli.

C. J.

teatr

Można było sądzić, że w „Rozmaitościach" nic, prócz „Onej" i sztuk Grzymały-Siedleckiego, grać już nie będą—tymczasem... tableau; jest p. Konczyński z całym domem Magdaleny. W „Polskim": Jewreinow z polskim dowcipem Stefana Kiedrzyńskiego. Aktorzy grają świetnie. Publiczność zachowuje się doskonale. Kasjerka działa sprawnie, choć niezbyt uprzejmie. W „Małym": „Zabawie w miłość" przeszkadza Golas i Pędracki. Na scenie widzi się: posłów, kandydatów na ministrów, córkę, mamę, żonę, męża, oficera i pannę ze sklepu z sercem czystem, jak szyba lagrowa znanego Baytla. Na widowni śmieją się wszyscy z Fertnera.

W „Komedji": po „Szafirze" z Owczarską „Simona już jest taka" z Krystyńską w łóżku; obok, co wieczór, sypia w akcie drugim Ziembiński.

X.

Teatr „Reduta" oddawna szuka drogi. Szuka pomacku. Czasami — już-już się do niej zbliża. Czasem nawet wkracza na nią, ale bardzo prędko znów kołuje. Schodzi na manowce?! Nic podobnego. Gdzie jest tyle reżyserskiego znawstwa, tyle czci dla sztuki i tyle entuzjazmu, poświęcenia, i gdzie

wolno wogóle mówić (bez łgarstwa) o „aspiracjach wyższych“, tam manowców niema. Ale są niefortunne wybory sztuk.

Znaleźć siebie — to nietylko najistotniejszy drogowskaz dla pisarza, artysty, ale i dla teatru. „Reduta“ po raz pierwszy naprawdę znalazła siebie.

Wystawiając „Pastorałkę“ p. Schillera, skromnego, lecz naprawdę światłego i muzykalnego zawodowca w rzeczach teatru—dała po raz pierwszy szczerą, prawdziwie do głębi wzruszającą szopkę. Jest to uczciwy prymityw, zarówno w naiwnych dekoracjach i prostem urządzeniu sceny, jak w grze artystów, żywcem wyrwanej z genru ludowego, subtelnej, groteskowej, pełnej świetnych akcentów adoracji i prostaczego uczucia.

Ta sama scenka, która zupełnie nie nadawała się do zgoła nieprymitywnie, lecz po wszechludzku i wielko-dramatycznie pojętego „Judasza“ Tetmajera, tutaj jest na swojem miejscu i klei się stylem sztuki w jedną, nieporównanie zharmonizowaną całość.

W „Pastorałce“ artyści „Reduty“, wspomagani pewnie przez pp. Osterwę, Limanowskiego i Drabika, zestroili się i nastroili idealnie. Widać, że ten zestrój oparł się na troskliwej, inteligentnej pracy, kierowała nimi tylko ambicja bezimienna, zbiorowa, dlatego nazwisk ich na afiszu, prosto a pięknie drukowanym' wcale niema, więc i jak nie będę tutaj niedyskretnym i tajemnicy nie odsłonię.

W „Pastorałce“ wszyscy złożyli hołd zarówno najpiękniejszej poezji, jak i poczuciu powołania teatru i artysty. Mówią, śpiewają, tańczą, a nadewszystko grają twarzami i postaciami,całą klawiaturą delikatnych tonów i półtonów wyrazu i uczucia.

C. J.



STAROŻYTNI O KOSMETYCE

Na terenie rzymskim modny był odcień rudawo-złoty. Stary Rato, wróg kobiet, gromił rzymianki, że włosy swoje „summe cum diligentia rutilarunt“ t. z. „rudziły“. Podobnie w słowniku Festusa na określenie słowa „rutilus“, rudy, znajdujemy następującą definicję: „rutilus oznacza barwę rudą, o którą to ubiegały się nawet żony przodków naszych“. Spotyka się także mody na włosy czarne i ciemno-bronzowe.

Farby przyrządzano przeważnie z odwarów roślinnych Czarną z liści akacji galachu[1]) (z Azji Mniejszej), bronzową z liści orzechowych. Wspomina o tem w jednej z elegij Tibullus, mówiąc o pewnej damie, dość leciwej, która „ażeby zatrzeć swoje lata ufarbowała włosy zieloną korą orzecha“. Na jasno-blond, kolor modny w Rzymie od czasu zetknięcia się z Germanami, barwiono włosy, używając tamtejszych ziół. Owidjusz w „Sztuce miłosnej“ żartuje z tego, mówiąc, iż „kobieta siwiznę zaprawia germańskiemi roślinami“. Były wreszcie specjalne mydła, zwłaszcza gallijskie, które służyły do nadawania włosom jaśniejszych odcieni.

Brwi i rzęsy też nie były w zaniedbaniu. W Grecji znano specjalne barwiki do nich, węgielki, któremi brwi i oczy podmalowywano. Znamy nawet nazwę tego rodzaju kosmetyku — „andrejkelon“ [2]). W świecie rzymskim stosowano chętnie te środki; mówi o nich dużo Owidjusz (odsyłam moje czytelniczki dzieła „Kunszt miłosny“ w tłómaczeniu J. Rościszewskiego), satyryk zaś rzymski Juvenalis opowiada nam o tem, jak to „mrugając powiekami można sobie nieznacznie barwić rzęsy i brwi uczernioną igiełką“.

Że dbano o piękną płeć, wie każdy, kto czytał Quo Vadis. Poppea u Juvenalisa jest typowym przykładem, że „niema nic bardziej nieznośnego od kobiety bogatej; czasami jest szkaradna lub ogromnie śmieszna, gdy twarz ma oblepioną chlebem.“ Ale, jak dodaje dalej Juvenalis, to tylko dla męża, dla kochanka obmyje swą twarz w oślem mleku, które jej nada wygląd świeży i pociągający. Ale mleko ośle wszystkiego dokazać nie może. Nieraz trzeba twarz ozdobić rumieńcami, kiedy indziej znów użyć białego kremu, aby je nieco przyćmić i nadać twarzy wyraz smętku i bladości. Kosmetyka starożytna i[3]na to ma radę. Różów i pomadek czerwonych tam wbród“ „spróbuj no przebywać“ — mówi Alkiphron [3]) — „w towarzystwie nurzających się w luksusie Atenek, które i oblicze mają malowane i obyczaje pełne nieprawości. Policzki farbą z traw morskich, to bielidłem to znów różem malują lepiej od sławnych malarzy“. Oto owa „Kommotiketechna“ sztuka malowania twarzy, jak ją nazywa Platon w Gorgrasie. Co prawda, Plautus zastrzega się, że „purpurissum“ przystoi tylko kobietom w wieku podeszłym, możemy być pewni jednak, że i młodsze nie stroniły od niego [4]). W tymże ustępie wymienia Plautus brały krem „cerussa“ i który służył do wybielania cery. Kto go nadużywał, mógł z powodzeniem uchodzić za śmiertelnie chorego [5]).

[1]) Plinjusz „Historia naturalis“ XXIV, 110.
[2]) Ksenofont Oecon X, 5.
[3]) Epistolograf Grecki II w. przed Chr.
[4]) Plautus Mostelaria 262.
[5]) Używał tego sposobu Martialis jak o tem mówi w X ks. Epigramów.

Taki imponujący rozwój sztuki kosmetycznej głęboko niepokoił ówczesnych moralistów; przecież starożytność miała prawdziwych Katonów. Wydawano nawet ustawy karne przeciwko luksusowi tego rodzaju [6]) ale, jak zwykle, bezskutecznie — łatwiej zwyciężyć im było króla perskiego i zburzyć Kartaginę, niż przemóc naturę kobiety.

ZDZISŁAW KONOPKA

[6]) Athensies XII p. 521.

W. K. w Łucku. Przy rozszerzonych porach i obfitym wydzielaniu się tłuszczu, preparaty na tłuszczach słabo działają. Proszę zastosować środek tego składu:

Rp.	Surphur depurati	3.0
	Acidi borici	2.0
	Zinci oxidati	2.0
	Spiritus	100.0

Przed użyciem dobrze zamięszać i 2 razy dziennie smarować całą przestrzeń z rozszerzonemi porami, przytem co 3-ci dzień myć się piaskiem i szczotką D-ra Séguinauda. — Wkrótce dobre rezultaty otrzyma Sz. Pani.

Zrozpaczonej. Po bliższe szczegóły w przedmocie leczenia raka Elektro-Homeopatją Hr. Matei, zechce Sz. Pani zwrócić się do p. Olszewskiego, Białystok, Legjonowa 13.

Kalinie. Proszę stosować płyn Eos co 5-ty dzień, wcierając szczoteczką umaczaną w tym płynie całą przestrzeń skóry na głowie. Już po 3-cim natarciu włosy przestaną wychodzić i zauważy Sz. Pani widoczną poprawę jak w szybszym poroście, tak i w zdrowym wyglądzie włosów. — Przeparat ten jest dość drogi, flakon 20 tysięcy, ale skuteczny.

Niezapominajce. Przedewszystkiem skierować leczenie na energję, bowiem przy słabej cyrkulacji krwi, mięśnie miękczeją, kolor cery się zmienia na niekorzyść i t. d. Miejsca kurzych łapek pokrywać co kilka dui maską młodości, która nie dopuści do zformowania się zmarszczek.

Leonji z Wilna. Cieszy mię mocno, że Tuja tak szybko poskutkowała. Chociaż plamy i piegi znikły — jaki Pani utrzymuje zupełnie, jednak należy bacznie obserwować i jeśliby Sz. Pani zauważyła najmniejsze ukazywanie się punktów pigmantowych — powtórzyć Tuję.

Wszystkim Szanownym prenumeratorkom pisma „Pani“ — szczególnie zamieszkałym na prowincji, ułatwiam przesyłkę środków wspomnianych w tem piśmie; proszę adresować do mojego zakładu leczniczo-kosmetycznego, Warszawa, Niecała 5; po otrzymaniu zamówienia, żądany środek polecę natychmiast wysłać.

KLIMECKI

OD REDAKCJI:

Z powodów natury technicznej zeszyt niniejszy ulega opóźnieniu

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa, ul. Hoża 56, m. 10, tel. 506-40.
SKŁAD GŁÓWNY: Księgarnia E. Wende i S-ka
Warszawa, ul. Krakowskie-Przedmieście 9, tel. 14-15.
REDAKTOR i WYDAWCA: STEFANJA BIGOSZTOWA
KIEROWNIK ARTYSTYCZNO-LITERACKI: JAN ŻYZNOWSKI

Odbito w drukarni J. Burians, Mazowiecka 11.